Nr. 28. Lwów dnia 10. Sierpnia 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 zlr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 zlr
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. - kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1go Sierpnia b. r. rozpoczął się **nowy kwartał** naszego pisma, trwający do ostatniego Października. Upraszamy o **rychłe** ponowienie przedpłaty, ażeby według tego zastosować liczbę nakładu.

Świt wychodzić będzie w dotychczasowym formacie, tak, że na każdy numer wypadnie $1^1/_2$ arkusza druku.

Cena kwartalna wynosi	w Galicyi 2 złr. w. a.;	w Niemczech 1 tal. 8 śgr.;	we Francyi 6 fr.
„ półroczna „	„ 4 „ „	„ 2 „ 15 „	„ 11 „
„ roczna „	„ 8 „ „	„ 5 „ — „	„ 21 „

Prenumeratę należy przesyłać za przekazem pocztowym lub w listach frankowanych wprost do Redakcyi *Świtu:* Ulica Wałowa Nr. 19.

W obecnym kwartale drukować będziemy obok rozpoczętej powieści *Michała Bałuckiego:* **„Między niebem a ziemią“** dalszy ciąg **„Kalejdoskopu“** *Berlicza Sasa*, którego druk przerwany został z powodu choroby autora; następnie bardzo ciekawy

„Pamiętnik damy polskiej XVIII wieku“
(Urszuli z Ustrzyckich Tarnowskiej),

obejmujący dzieje rozbiorowe i porozbiorowe kraju naszego, a spisany przez naocznego świadka, z mnóstwem zupełnie nowych szczegółów o tej ciekawej epoce;

w dziale poezyi dramat *Michała Beera:* **„Struensee“** w przekładzie wierszem *Władysława Bełzy*; poemat oryginalny *Władysława Ordona:* **„Garbus z Bononii.“** jakoteż przekład **„Nocy“** *Alfreda Musseta*, dokonany przez *tegoż*; przytem szereg poezyi mniejszych rozmiarów: *Władysława Bełzy, Ernesta Buławy, Teofila Lenartowicza, Adama Pajgerta, Stanisława Grudzińskiego* i innych;

rozprawy naukowo-literackie: dr. *Adama Bełcikowskiego:* **„O poezyi polskiej XIX wieku i jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu,“** *Mieczysława Paszkowskiego:* **„O dobrych i złych stronach pozytywizmu,“** *Henryka Schmitta:* **„Duch i przyroda w dziejach,“** *Alfreda Szczepańskiego:* **„Tadeusz Kościuszko na tle najnowszych badań“** i inne;

„Listy o kwestyach społecznych“ dr. *Gustawa Roszkowskiego*, jakoteż **„Pogadanki o sprawach bieżących,“** przez jednego z najcelniejszych naszych publicystów, wreszcie rubrykę humorystyczną: **„Same plotki.“**

☞ Prenumeratorowie **nowi** otrzymają bezpłatnie początek drukującej się obecnie powieści: **„Między niebem a ziemią.“**

Lwów dnia 19. Lipca 1872. **Od redakcyi.**

NA OKAZ.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Gdy łódź dobiła do brzegu, mężczyzna ów wyszedł na brzeg i zniknął w ciemnych alejach ogrodu.

Jeszcze Adam nie miał czasu zdać sobie sprawy z owego dziwnego zjawiska, gdy człowiek ów wysunął się na taras i stąpając cicho podszedł pod okna na przeciwnej stronie domu, w którem paliła się lampa. Adam idąc oczami za śladem człowieka spojrzał w to okno i zobaczył przy świetle lampy cień kobiety. Światło obrzuciło wąskim paseczkiem kontury jej twarzy i ramion. Przy tem niewyraźnem oświetleniu dojrzał, że była w białem ubraniu i włosy jasne rozpuszczone. Człowiek ów podkradający się pod okno mógł widzieć więcej, gdyż wspiąwszy się na gzyms mógł widzieć całe wnętrze pokoju. Siedząca w pokoju kobieta nie widziała go, gdyż była tyłem zwrócona do okna.

Ta zuchwała śmiałość nieznajomego oburzyła Adama. Gdyby nie obawa przestraszenia kobiety i zbudzenia służby, byłby głośno nakazał śmiałkowi cofnąć się. Po chwili przyszło mu inne podejrzenie. A jeżeli to schadzka? — pomyślał sobie i krew kipiątkiem zagotowała się w nim. Dziwna rzecz, jak silnie zazdrość szarpała nim o kobietę, z którą zaledwie kilka słów zamienił. Obecność jakiegoś człowieka pod jej oknem, który może większe miał do niej prawa, niż on—wzburzyła go całego. Nigdy jeszcze o Stasię podobnych nie miał obaw, ani niepokojów. Tu zaś drżał i niepokoił się jak skąpiec, gdy widzi skarby swoje zagrożone. Był to dziwny stan, którego przyczyny w tej chwili wytłómaczyć sobie by nie mógł, gdyby chciał nawet, gdyby był mógł zdobyć się na spokój i myśleć o tem. Obawa jego była rodzajem instynktowego przeczucia. Przeczuwał, choć tak mało znał tę kobietę, że ma w sobie coś, co się ująć i zatrzymać nie da, jak pogoda wiosenna, co przychodzi i odlatuje podług kaprysu. W miarę tej niepewności posiadania rosła zazdrość i niewiara; a chęć posiadania potęgowała się wraz z tą niewiarą. Przed chwilą byłby może spokojnie zrzekł się tej odrobiny nadziei, do jakiej dawało mu prawo kilka spojrzeń i słów Ewy; teraz, gdy widział, a raczej domyślał się tylko, że ktoś inny wyciąga rękę po to szczęście, do którego on rościł sobie już pewne prawa, zawrzał zazdrością. Czul się pokrzywdzonym przez nieznajomego.

Mało brakowało, że byłby wyskoczył oknem i pobiegł do nieznajomego i zabronił mu tak śmiało zapuszczać wzrok do sypialni kobiety. Łudził sam siebie, że byłby to zrobił w jej obronie; on chciał to zrobić we własnym interesie. Na szczęście okoliczności uwolniły go od tego nierozsądnego kroku. Lampa w pokoju Ewy zgasła a nieznajomy zsunął się cicho w zawila otaczające dom.

Adam wstrzymał dech w piersiach i podsłuchiwał kroki nieznajomego. Szelest ich zbliżał się ku jego stronie. Adam nie chcąc być spostrzeżonym cofnął się w głąb pokoju. Szelest zbliżył się pod samo okno i głos jakiś zawołał z ogrodu:

— Janek, czy to ty świecisz? Słyszysz Janek?

Adam nie uważał za stosowne odpowiadać. Człowiek ów nieznajomy odezwawszy się jeszcze parę razy i nie odebrawszy odpowiedzi oddalił się. Za chwilę jednak usłyszał Adam głos jego w sieni zmięszany z drugim głosem, który mu odpowiadał. Oba te głosy prowadziły następującą rozmowę, która coraz bardziej ku drzwiom się zbliżała.

— Kto taki? — spytał opryskliwie głos, który się przed tem odezwał był w ogrodzie.

— Jakiś pan — odrzekł głos drugi.

— Co za pan?

— Nie wiem. Przyjechał z naszem państwem.

— To mi wszystko jedno. Przecież mojego pokoju nie zajęto.

Po tych słowach ktoś z trzaskiem drzwi otworzył. Adam zdziwiony tym energicznym napadem spojrzał nieco z góry na wchodzącego. Ten jednak nie zdawał się wcale zwracać uwagi na jego oburzenie; wszedł do pokoju krokiem powolnym i pewnym siebie. W ruchach jego równie jak w ubraniu widać było pewne lekceważące zaniedbanie. Twarz miał zwiędłą i zasępioną a w oczach surową zadumę.

— Przepraszam pana — rzekł do Adama przechodząc przez jego pokój — że go niepokoję. Nie wiedziałem, że mam sąsiada. Byłbym wrócił wcześniej.

Adam stał tak zwrócony do przybyłego, że mógł mu się dobrze przypatrzyć; sam zaś oświecony świecą z tyłu tylko w głównych konturach przedstawiał się wchodzącemu. Gdy jednak ten, przeszedłszy do swego pokoju, wrócił ztamtąd ze świecą, by ją zapalić i wtedy miał sposobność przypatrzenia się twarzy Adama, zdziwiony cofnął się i przypatrując mu się lepiej zawołał:

— Adam!

Ten również spojrzał na nieznajomego, ale twarzy jego wcale przypomnieć sobie nie mógł.

— Nie poznajesz mnie? — spytał nieznajomy — nic dziwnego; zmieniłem się, postarzałem. Dawniej trochę inaczej wyglądałem. Jestem Zygmunt. W szkole nazywaliście mnie Petrarką, bom wam pisywał sonety do waszych kochanek. I tobie zdaje mi się pisywałem do jakiejś Stasi.

— Więc to ty Zygmunt? — spytał Adam zdumionym wzrokiem oglądając go z trwogą i współczuciem.— Nie byłbym cię nigdy poznał. Zmieniłeś się bardzo.

— To prawda, żem się pospieszył nieco z życiem— rzekł z cyniczną obojętnością. — Ha, cóż robić, im silniejszym płomieniem pali się świeca, tem się prędzej spali. Bogini młodości i wiosny nie przyznałaby się może do mojej żółtej twarzy, i przerzedzonych włosów. A mam dopiero lat dwadzieścia ośm.

— Czy chorowałeś? — spytał z współczuciem Adam.

— I to było. Ale główny powód moralne niezdrowie. A czy wiesz nazwisko tej trucizny? Czy wiesz, co mnie do tego stanu przywiodło? — —

Tu zatrzymał się, jakby sobie coś przypomniał i zamyślił się głękoko. Potem odrzucając w tył długie włosy spojrzał bystro w oczy Adama i rzekł:

— Powiem ci. Ale pierwej powiedz mi szczerze, co ciebie tutaj sprowadziło? Zarumieniłeś się, więc do-

brze się domyśliłem. Nie tłómacz się — rzekł nagle widząc, że Adam chciał coś mówić. — Wiem, co mi będziesz mówił, że przypadek, chwilowa znajomość. Ja tak samo zaczynałem, a skończyłem tak.

Ostatnie słowa powiedział tragicznym, uroczystym tonem.

— Jestem krewnym majora.

— Tak, któż nie jest jego krewnym. On cały świat radby spokrewnił ze sobą, żeby tylko słuchał jego szerokich gawęd. To człowiek urodzony na serdecznego. Jedyny błąd jego życia, że ma taką córkę. Aha! zarumieniłeś się znowu. Jesteś skłonniejszym do choroby, niż ja. Może prędzej za to przejdziesz paroksyzm; a może też masz jakie antidotum. Nie tłómacz się, nie uwierzę. Człowiek, co tak drogo zapłacił za tę chorobę musi ją znać dokładnie i nie myli się. Powiedz mi raczej, jak się tutaj dostałeś? Czyś jechał tu prosto? Pewnie nie? Pewnie jechałeś gdzieś, gdzie ci pilno było. Może do owej Stasi, dla której sonety ci pisywałem? A co zgadłem? Niech cię nie dziwi ta siła jasnowidząca. Zwykle chorobliwe natury ją mają, a ja ciężką przeszedłem chorobę. No więc jakże — prawda? Nie jechałeś tu wcale, nie myślałeś nawet może, że tu będziesz?

— W istocie nie. Spotkałem się z majorem u przewozu, poznałem się z nim i ulegając jego gościnnym zaproszeniom dałem się namówić na nocleg tutaj.

— Kiedy maskujesz mi się — odezwał się opryskliwie z furyą prawie Zygmunt — silisz się na kłamstwo wtedy, kiedy ja jak kanarek wyśpiewałem ci wszystko, odsłoniłem ci całe jatki mej duszy! Czemu nie mówisz prawdy? Czy myślisz, że ci uwierzę, że jednooki major i chęć słuchania jego gawęd zbiła cię z drogi? Ciebie tu sprowadziły oczy jego córki. Widzisz, jak ja ją znam. Patrzała zapewne niemi na ciebie tak, że uwierzyłeś, iż zakochała się w tobie, a że każdy z nas jest samolubem i chciałby zaraz skorzystać z tego, co, zdaje mu się, że do niego należy, więc przyjechałeś tu. I ze mną tak samo było. Tylko, że ja trudniej uwierzyłem.

I znowu urwał rozmowę, spuścił głowę na dół i kiwał się w zamyśleniu. Adam siedział naprzeciw niego osłupiały, zdumiały tem, co słyszał przed chwilą. Chaos, zamęt powstał w jego głowie, którego ostatecznym rezultatem było przerażenie. Stary dom majora wydawał mu się okropnym, noc potęgowała to wrażenie. Niedoperze tłukąc się o okno wydawały mu sie zaklętymi duchami; skrzypnięcie choręgiewki na dachu, lada stuknięcie wstrząsało nim i sprawiało dreszcze. To znowu przychodziło mu na myśl, czy przypadkiem Zygmunt nie jest obłąkanym, czy nie w napadzie szaleństwa opowiada mu takie potworne rzeczy — i z przestrachem spojrzał na siedzącego przed sobą ze spuszczoną głową. Przypomniał sobie, że major nazwał go dziwakiem; może przez grzeczność tylko nie chciał nazwać po prostu szaleńcem. Domysł ten coraz więcej nabierał pewności, im dłużej Zygmunt trwał w ponurem milczeniu. Adam bał się po tej ciszy jakiegoś nagłego wybuchu.

Ale Zygmunt wbrew jego oczekiwaniu wstał najspokojniej, westchnął głęboko i rzekł klepiąc go po ramieniu:

— Tak, tak, mój kochany. Dwa lata pokutuję już w tym domu jak duch za tę jedną chwilę. Dwa lata, rozumiesz? Policz no, ile to milionów sekund składało się na te dwa lata. A żadna sekunda, co mówię, żadna cząsteczka sekundy nie przeszła spokojnie, żeby nie szarpnąć za serce. Bywały takie, co zmęczonego budziły i mówiły: będzie twoją. I darłem się wtedy do tego szczęścia, jak ten, co po stromych skałach wdziera się na szczyt góry, i kiedy już mi się zdawało, że jestem u celu, jedno jej słowo kopnęło mnie nielitościwie w serce i strącało w przepaść, gdziem się wił w bolu i zazdrości. O! okropne takie życie.

Przeciągnął się jak człowiek na torturach rozpięty, załamał palce, że aż zatrzeszczały w stawach i usiadł a raczej upadł ciężko na krzesło. Adam patrzył na niego z politowaniem. Los jego zaciężył mu ołowiem na sercu.

— I czy nie szukałeś sposobu wyleczenia się z tej nieszczęśliwej miłości? — spytał po chwili. — Czyż bez miłości żyć nie można? Jest tyle innych pragnień w naszej duszy, których zaspakajanie przynosi szczęście, daje cel życiu. Gdybyś się zajął pracą...

— Pracą? — Rozśmiał się gorzko, boleśnie. — Czy ty myślisz, że ja mogę co robić teraz? Znałeś mnie w szkołach. Wiesz, co sobie ze mnie obiecywano. Ja sam czułem, że mogę coś zrobić w życiu. Dziś to wszystko gdzieś się podziało. W głowie pusto, jałowo! jedna myśl wznioślejsza, śmielsza nie zrodzi się; natchnienie mnie odbiegło, zwątpiłem w siebie. Nieraz gwałtem chcę tworzyć, pisać coś. Niepodobna; bo nie mogę myśleć o niczem, tylko o niej. Ta myśl kładzie się w poprzek każdego wiersza, wlecze się na końcu pióra i piszę wtedy sam nie wiem co, jak pijany, bez planu, bez ładu, bez natchnienia. Księgarze i wydawcy kupują te brednie i drukują, bo czego dziś u nas nie drukują; ale ja rumienię się, gdy czytam na tych potwornych, koszlawych płodach moje nazwisko; wstydzę się tych wyrodków mego ducha. Okropnym jest, mój Adamie, taki moralny upadek.

— Bo zbytnie poddałeś się rozpaczy. Przecież należałoby trochę więcej czuć swoją godność, otrząsnąć się z tego letargu.

— Śmiesznym jesteś, mój kochany, z twemi radami. Gdyby uczucia zależeć mogły od naszej woli i chciały słuchać rozsądku, gdyby świadomość niebezpieczeństwa uwalniała was od niego, nie byłoby nieszczęśliwych na świecie. Przekonaj mnie, że ta kobieta nie żywi dla mnie żadnej iskierki uczucia, a wydrwisz mnie. Ale o tem nie przekonasz mnie ani ty, ani nikt, bo nie mógłbym uwierzyć, aby taka miłość jak moja nie poruszyła w końcu nawet takiej, jak ona. Miłość własna nie pozwala mi wierzyć, że mnie już całkiem nie kocha, ona sama nie miałaby czoła powiedzieć mi tego; choć postępowanie jej nieraz mi to mówi. Czy ty sądzisz, że ty pierwszy jesteś, który tu przychodzisz odkradać mi jej spojrzenia, jej serce? Było tu takich kilku i za każdego przybyciem przechodziłem wszystkie męczarnie zazdrości, popełniałem tysiące niedorzeczności, jak student jaki; wystawiałem się na śmieszność, narażałem na jej gniew, męczyłem ją i siebie podejrzeniami, bo w każdym, co się zbliżał do niej widziałem rywala, szczęśliwszego odemnie.

— To wszystko mogło być tylko uprzedzeniem. Jakiż miałaby powód tak oszukiwać cię, zdradzać cię dla pierwszego lepszego, który się do niej zbliży?

— Jaki powód? Widziałeś, mój kochany, zapewne nieraz osoby, które nie przejdą koło krzaku, drzewa, by nie uszczknąć kwiatu, nie skubnąć listka, bez potrzeby, ot tak, dla chwilowej zabawy. Otóż ona ma tę samą naturę. Jest u niej pewna pasya obrywania serc, kokietowania i zwyciężania tych, którzy się do niej zbliżają. Czy to robi z wyrachowania, czy dla zabawki z kaprysu, przez żądzę tryumfów, jaką ma każda piękna kobieta? na to nie umiem sobie odpowiedzieć. I to mnie męczy.

— Dlaczegoż nie zrobisz stanowczego kroku? Nie oświadczysz się o nią. Byłby to najlepszy sposób dowiedzenia się prawdy.

— Zrobiłem to.

— I cóż?

— I odpowiedziała mi to, co ja sobie już pierwej odpowiedziałem: a co potem? To nie jest kobieta, któraby umiała cierpieć nędzę z miłości. Ma ona wszelkie wymagania od świata. To kobieta, która potrzebuje bogactwa, zbytku, a przynajmniej dostatniego losu, a tego jej zabezpieczyć nie mogę. Bo czemże ja jestem? Niczem. Nawet tytuł, na który zapracowałem sobie jest nie mój, nosić go nie mogę bez okrycia się śmiesznością—a tem mniej ją okryć tym tytułem. Szewc, malarz, stolarz wszyscy mogą bez zarumienienia przyznać się do swego zatrudnienia i stanu, jeden tylko poeta nie może powiedzieć: jestem poetą, bez zrobienia się śmiesznym lub zarozumiałym. Więc jestem coś nieokreślonego, nie nazwanego, człowiek bez jutra i bez nazwiska. I chcesz, żeby ona oddała mi rękę i dzieliła ze mną niepewne losy?

Tu zatrzymał się chwilę, jakby mierzył milczeniem głębokość ciemnego losu swego. Po chwili mówił dalej:

— Jedyna nadzieja w ciotce mojej. Jest bogata, ale skąpa do obrzydliwości. Jeżeli umrze pierwej, nim ja, lub nim Ewa zdecyduje się oddać rękę komu innemu—mam nadzieję, że ją posiędę. Ale stara żyje jak na złość. Wyschła i schorowana od lat kilkunastu jest kandydatką na nieboszczkę, a jednak umrzeć nie chce. To jej żylaste, zasuszone zdrowie zaczyna mnie niecierpliwić.

— Mój kochany Zygmuncie — odezwał się Adam po niejakim namyśle i wahaniu się — jednej rzeczy w tej całej historyi twojej miłości nie rozumiem. Chcesz się żenić z kobietą, której nie dowierzasz. Czy sądzisz, że ślub będzie zarazem pogrzebem twoich obaw i niespokojności? Ja wątpię. A wtedy jakież będzie twoje życie? Może gorsze niż teraz.

— To, co ty mi teraz mówisz, powtarzałem sobie nie sto razy. Wiem, co mnie czeka; a jednak cofnąć się nie chcę. Żądza posiadania tej kobiety silniejszą jest niż wszelkie obawy. Bez niej nie mogę pomyśleć sobie życia, jak nie można sobie pomyśleć dnia bez światła. Ta kobieta ma dla mnie urok, którego wytłómaczyć nie umiem, jakąś siłę magnetyczną, która mnie ciągnie mimo mej woli jak niewolnika. Uczucie, które mam dla niej, jest to jakaś straszna mięszanina miłości i nienawiści. Żyć bez niej nie umiałbym, jest to konieczność — i nienawidzę jej, że jest powodem tej konieczności. Czuję to po sobie, że mógłbym w apogeum oburzenia zabić tę kobietę, ale żyć bez niej — tego nawet pomyśleć sobie nie mogę. Zrozumże mnie teraz. Dawniej nazywanoby to nieczystą siłą i ksiądz kropidłem wyganiałby ze mnie tego czarta miłości, co mnie opętał. Dziś nie wiemy, jak to nazwać, nie wiemy, jak leczyć. W wieku spekulacyi giełdowych uczucia takie są anachronizmem, a ja dziwolągiem. Wiem o tem. Ale ta wiadomość nie jest jeszcze lekarstwem; nie objaśnia mnie, jak się to skończy. Daj Boże, żeby się źle nie skończyło.

W miarę im dłużej mówił, tem słowa szybciej, gwałtowniej biegły z ust jego i stawał się niespokojniejszym. W końcu dosiedzieć nie mógł. Wstał żywo i nierównymi krokami chodził po pokoju, to znowu zatrzymywał się. Oczy migotały niespokojnie i ruchliwie. Szyby okien zaczęły już bieleć.

— Co to? — spytał Zygmunt zdziwiony. — Już brzask? Czas iść spać. Tyś znużony. Daruj, że cię tak wynudziłem. Może to będzie dobrem dla mnie takie wygadanie się, a może i dla ciebie. No! spij spokojnie.

To powiedziawszy wziął świecę swoją i zabierał się do wyjścia. We drzwiach jeszcze zatrzymał się i rzekł zwracając się do Adama:

— Jutro skoro się przebudzisz, zastaniesz ją w ogrodzie. Będzie zbierała kwiaty i jeden z nich dostanie się tobie. Tak zaczęła się moja miłość. Do widzenia.

Słowa te powiedział na pół ze śmiechem, ale śmiech ten był cały przesiąkły łzami i bolem.

Po jego odejściu Adam usiadł przy stoliku, na którym paliła się świeca i zapatrzony w jej płomień chwycił się oburącz za głowę, jakby się bał, by nie pękła pod naciskiem tych myśli, co po niej kłębiły i goniły. Długo, bardzo długo rozmyślał nad tem, co słyszał z ust Zygmunta.

Na drugi dzień, kiedy Zygmunt się obudził, nie zastał go już w pokoju. Ironiczny uśmiech przeleciał po wywiędłej twarzy nieszczęśliwego kochanka.

— Jest już przy niej — pomyślał.

Kiedy chłopiec przyniósł mu wodę spytał go:

— Czy dawno wyszedł ten pan?

— Wyjechał.

— Wyjechał? — spytał zwracając się zdziwiony do chłopca.

— Wyjechał bardzo rano.

— I nie pożegnał się z nikim?

— Widział się z panem. Pan chciał go gwałtem zatrzymać; ale on nie chciał przystać na to.

— Miał więc odwagę uciec — rzekł w duszy do siebie Zygmunt.

Odjazd Adama ucieszył go—niewiadomo czy przez życzliwość dla niego, czy dla siebie.

— Ewa napróżno oczekiwać go będzie w ogrodzie—mówił dalej do siebie. — Już tam być musi.

Wyjrzał na ogród i zdziwił się zobaczywszy zamiast Ewy jej służącą, która rwała kwiaty i układała je w bukiet, spytał:

— Czy pani już wstała?

— Pani dziś całkiem nie wstanie, jest słabą.

— Jakoś wszystko inaczej się składa, niż sądziłem. Obliczenia moje tym razem zawiodły. Posądziłem ją niesłusznie. Jestem podły — mówił do siebie Zygmunt.

(C. d. n.)

CHOLERA.

W Państwie wszechłgarstwa,
Wszechpodłych zdrad —
W niewoli Carstwa
Wylęgły gad:
Już zieje jad!
Do nas się wdziera,
Całun śmierci rozpościera
Cholera!

To brzask
Wszechmoskiewskich łask!

To znak
Wszechmoskiewskich plag!

Bo i czemże, czem?
Panmoskiewska ta ojczyzna?
Wszechzłem!

Nihilizmu to trucizna!
A Moskalem z ciała — ducha —
Ten kto kradnie — Cara słucha!

Bo i czemże, czem?
Panmoskiewski Car!
Wszechzłem!
Wszechobrazem kar!
Jego symbol?
Ból!
A atrybut?
Knut!

Bo i czemże, czem?
Panmoskiewski duch?
Wszechzłem!
To zaborczy ruch
Wszechsłowiańskich ziem!
To prąd,
Co wre!
To trąd,
Co żre
Rozbieżałą Słowiańszczyznę,
Aż roztoczy ją w zgniliznę!

Bo nie myślcie, wy Czechowie,
(W nienawiści, czy zwątpieniu,)
Wy Serbowie, Bułgarowie,
I unicy, szyzmatycy
Wy Rusini, wy „Krzywicy"
By w tem z Moskwą połączeniu,
Jednym skuci z nią łańcuchem,
I pod carskim tym obuchem —
Żyć wam dano własnym duchem,
Swojskim, zdrowym, narodowym?
Byście w ojców mowie, wierze,
Odmawiali swe pacierze?
By ten Moskal był wam bratem?
Bo jak Car jest jemu katem,
Jak przed carskim on obliczem
Tylko płazem, prochem — niczem,
Tak dla słabszych będzie biczem,
Tak was słabszych wtłoczy w pęta
Jak bydlęta!

Przyszłość wasza? zmoskwicenie!
Wiary — mowy odszczepienie!
Myśl wam wnurzy w wieczną noc,
Wolę złamie carska moc!
Przenaturzenie
Wam!
Zezwierzęcenie
Tam!

Życie wasze? „po ukazu"
Carska służba, carski „czyn!"
Ty, na czatach gór Kaukazu —
Lub w polarny zagnan świat,
Gdzie nie taje lód ni śnieg!
Nad Bałtykiem „sprawnik" brat!
Nad Amurem „sałdat" syn!
Drugi syn twój z Omska zbiegł!
Trzeci w Polsce — może szpieg?

Bez idei!
Bez nadziei!
Wiara?
W Cara!
Car wam Bogiem
I batogiem!
Człowieczeństwu wbrew
Carska własność — wasza krew!
Miłość wasza? cóż nią jest?
Carski „chrzest!"

W Państwie wszechłgarstwa,
Wszechpodłych zdrad —
W niewoli Carstwa
Wylęgły gad —
Już zieje jad!
Do nas się wdziera,
Całun śmierci rozpościera
Cholera!

To przestroga!

Nie — na Boga!
Nam — nie z Moskwą jedna droga!

Związek wolny,
Federalny —
Pod sztandarem
Polski starym:
W s z e c h b r a t e r s t w a i m i ł o ś c i —
Tylko zdolny
Idealny
Byt wytworzyć
Słowiańszczyznie i Ludzkości!
Wszechmorderstwu kres położyć!

Ojców Boże!
My nie godni!
My od małpy dziś pochodni!
Ale kiedyś?... kiedyś może?...
Daj choć wnukom tego dożyć!...

Maryan K.......

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

Leon Hulewicz odpowiedział mu dopiero 5 Sierpnia 1792, a zatem w dwa tygodnie po nadejściu odmownej na list królewski odpowiedzi z Petersburga. Uznawszy raz potrzebę porozumienia się z konfederacyą targowicką, nie mógł Kołłątaj innego być zdania po odrzuceniu przez carowę propozycyi zawartych w liście królewskim z 22 Czerwca. Położenie bowiem kraju nie polepszyło się w niczem, gdy z drugiej strony sam ton odpowiedzi carowy a bardziej jeszcze szorstkie i wzgardliwe wyrażenia w piśmie jej ministra wskazywały namacalnie, jaki los czeka Polskę, jeżeli w niemocy swojej będzie się musiała zdać na łaskę Moskwy. Jedynym teraz środkiem jakiegoś ratunku było przywrócenie wewnętrznej w kraju zgody, co znów dopiąć było można drogą pojednania Targowiczan, którzy w szalonym zapędzie namiętności zawiązali swą zbrodniczą konfederacyę pod osłoną moskiewskich bagnetów. Trzeba więc było przystąpić do ich konfederacyi, jeżeli się nie miało sił do pokonania Moskali, a przystąpieniem tłumnem opanować ją ostatecznie — uchyliwszy zaś wewnętrzne rozdwojenie, skupić potem cały niejako naród ku obronie całości i niepodległości kraju. Że ta a nie inna myśl przyświecała Kołłątajowi, gdy nietylko na posiedzeniu straży d. 23 Lipca 1792 doradzał królowi bezzwłoczne przystą-

pienie do Targowicy, ale i sam przed wyjazdem z Warszawy zostawił akces do niej w ręku Strassera, dowodzą wymownie liczne jego listy do tegoż i innych, w których powtarza stale, że gotów wrócić do kraju, skoro będzie miał rękojmię osobistego bezpieczeństwa a oraz prawo udziału w robotach konfederacyi. Siemieński widzi w ostatniem żądaniu właśnie dowód nieczystości jego zamiarów. Jest to więcej niż naiwność, jest to po prostu zła wiara. Jeżeli bowiem Kołłątaj uznał potrzebę przystąpienia do konfederacyi, toż dla tego głównie, aby w niej będąc, mógł wpływem swoim i innych patryotów zniewolić ją do zgodniejszego z dobrem ojczyzny postępowania. Gdyby mu było szło wyłącznie o ocalenie dóbr i urzędu mógł tego najłatwiej dopiąć jak mu radził Benedykt Hulewicz pisaniem się bezwarunkowem na konfederacyę. Że tego nie uczynił, jest najlepszym dowodem zajadłe prześladowanie, którego doznał ze strony konfederacyi. Dlaczego zaś na uboczne wezwanie w tej mierze nie zważał, wypowiada w wspomnionym już liście do Strassera z dnia 9go Lutego 1793 r., w którym tak pisze:

„Rozciągnąłem list w tak smutnym przedmiocie, abym się tem bardziej przed W. Panem usprawiedliwił..., że nie z chimery, nie z uporu wzbraniałem się powrócić dotąd, lecz z bojaźni, abym do tak szkaradnej nie należał roboty. Gdyby tylko o to chodziło, żeby cierpieć, nie znają mnie, sam bym szukał stawić się w oczy moim prześladowcom; ale tu idzie o to: żeby sumienia swego nie skazić sprawieniem nieszczęścia ojczyzny, aby w czasie zdesperowanym nawet nie rozpaczać jeszcze o jej ratunku. Umiałem to dobrze wyrozumieć przez uwagi podane W. Panu. Jak prędko p. Bułhaków projekta moje uznał za niepodobne, jak tylko Targowiczanie nie mają mocy zwołania sejmu, ale tylko z konsyliarzami bałamucą i wydają rozkazy, na któreby się żaden wolny Polak nie ośmielił, znając, że legalna reprezentacya narodu polskiego jest tylko w sejmie, jak prędko dostrzegłem, że żadnej nie szukają rekoncyliacyi, ale owszem z Petersburga odbierają rozkazy prześladowania, pokombinowawszy to wszystko z mojemi wiadomościami, uznałem za powinność, abym się do kraju nie wracał, obrałem, aby mię prześladowano, bom wiedział dobrze, na czem się ta cała ich robota skończy. Przypomnij sobie W. Pan, com pisał w dawniejszych listach, a oddasz sprawiedliwość, że upór mną nie rządził, że gdybym jeszcze dziś widział p. Szczęsnego i króla ochotnych choć rozpacznie ratować ojczyznę, stanąłbym przy nich. Lecz do testamentu Rpltej asystować nie chcę."

Nie przytaczam innych bardzo licznych ustępów z listów jego, które od pierwszej chwili wyjazdu jego za granicę, te same wykazywały powody zamierzonego przezeń przystąpienia do konfederacyi. Godziłoż się podsuwać mu niecne jakieś pobudki, jeżeli wydane świeżo listy najpoufniejszej natury świadczą aż nadto, że tylko chęć ratowania całości ojczyzny zniewoliła go do tego kroku, który był mu wstrętny, lecz którego niezbędność uznał w tej ostateczności, do jakiej Polska była przywiedziona. Niech tylko każdy, kto pragnie dotrzeć do prawdy, odczyta oba tomy wydanych przez Siemieńskiego listów Kołłątaja, a zgodzi się w tem ze mną niezawodnie, że wydawca w swej przedmowie wyrządził mu najcięższą krzywdę, ponieważ podsunął mu niecne pobudki, których nie miał wcale.

XIV.

Siemieński przyznaje wprawdzie, że doradzane królowi i zamierzone własne przystąpienie do konfederacyi targowickiej było krokiem politycznym, który świadczy, że Kołłątaj jasne miał pojęcie o bieżącej sytuacyi. Lecz zarzuca mu przytem, że tajemnymi zabiegami u Bułhakowa, niezgodnymi z publicznie przezeń odgrywaną rolą dowiódł za wiele ostrożności, a wyparciem się następnem tego kroku okazał najlepiej, że nie uczynił go z przekonania, skoro nie chciał go utrzymywać w obec całego świata. Wnosi więc z tego, że gdy nie przyznał się doń otwarcie, jak to robi zawsze człowiek z charakterem i miłujący prawdę, lecz wolał go bielić w opinii, wyprzeć się zręcznem kłamstwem, okazał już tem samem, że rachuba na osobiste widoki kierowała jego zdaniem a nie przekonanie o konieczności takiego kroku ze względu na dobro ojczyzny. Twierdzenie zaś swoje opiera głównie na tem, że Kołłątaj miasto w książce „o ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 Maja" wiernem historyka piórem opisać, co się działo na posiedzeniu straży w dniu 23 Lipca, opowiada tę scenę w następujących słowach: „Kołłątaj, podkanclerzy koronny, daremną nazywając radę, której król zasięgał po wziętej już mocnej rezolucyi, łączył już ostrzeżenie, aby w tym systemie król przynajmniej z Moskwą, nie z osobami, które rokosz podniosły, negocyacye rozpoczął."

Siemieński spostrzega w tem przedstawieniu dwie nieprawdy; i to naprzód obrócenie rzeczy, jakoby już król powziął postanowienie, zanim rada wydała swą decyzyę, a powtóre przypisanie Kołłątajowi, co powiedział Stan. Małachowski, zacny marszałek sejmu. Co do pierwszego jest przecież rzeczą powszechnie już znaną, że król przed posiedzeniem straży odbył naradę poufną z swymi krewnymi i osobami zaufanemi, na której powziął rzeczywiście stanowcze postanowienie wykonania woli carowy. Co więc powiedziano w owym ustępie o „wziętej już mocnej rezolucyi," jest najzupełniej prawdą. Drugie jest mniej więcej obojętnem, a jak Małachowski, tak mógł i Kołłątaj i każdy rozumny człowiek wynurzyć zdanie, że jeżeli już układać się, to lepiej z Moskwą, która stworzyła konfederacyę i w zupełnej utrzymywała ją zależności od siebie, niż z samą konfederacyą, będącą narzędziem tylko w ręku tamtej. Ważniejszem jest tu pytanie, kto jest autorem przytoczonego ustępu, ponieważ Siemieński przypisuje go Kołłątajowi. Gdyby na karcie napisowej świeżo wydanych listów Kołłątaja nie stało wyraźnie, że je zebrał Lucyan Siemieński, musiałbym mu zarzucić, że chociaż udaje, jakoby z nich głównie czerpał swe przeciw Kołłątajow zarzuty, nie czytał ich przecież bynajmniej. Jakże bowiem mógł przypisać mu autorstwo owego ustępu, jeżeli z listu LXXXVII, pisanego d. 9 Września do ks. Franciszka Dmóchowskiego, tudzież z przypisku do tego listu, okazuje się najwyraźniej, że rozdział IV drugiego tomu, w którym właśnie ów ustęp się znajduje, jest pióra Stan. Potockiego! Z listu tego dowiadujemy się również, że książka ta była dziełem zbiorowem Ignacego Potockiego, Stan. Potockiego, Kołłątaja i Dmóchowskiego, którzy pojedyńcze rozdziały jej rozebrali między siebie. W liście tym powiada między innemi Kołłątaj: „Znasz W. Pan dobrze, że jestem bez wszelkiej pretensyi co do tego wspólnego pisma. Uważ jednak, że to jest niedelikatnie, że inne rozdziały idą do druku bez rzucenia oka mego na nie, gdy tymczasem od początku samego moją pracę bez żadnych oporów poddałem egzaminowi współpracowników." Ustęp ten zbija całą argumentacyę Siemieńskiego o bieleniu w opinii fałszywego kroku, który niby tajemnie uczynił Kołłątaj i o zręcznem kłamstwie jego, które bałamuciło historyków. Jeżeli bowiem Kołłątaj pisząc do jednego z współpracowników zbiorowego dzieła tego, mógł utyskiwać na niedelikatność ztąd wynikającą, że swoich rozdziałów mu nie udzielali przed wydruko-

waniem do przejrzenia, chociaż on bez wahania poddawał ich egzaminowi to, co sam napisał, czyż można dziś mu zarzucić, że mniemane owe kłamstwo zręczne wyszło od niego? Przypuściwszy nawet, że ów ustęp opisujący posiedzenie straży jest jego pióra, dla czegoż przepuścili go współpracownicy, a szczególniej Ignacy Potocki, który był przecież obecny na owem posiedzeniu, a tem samem wiedział dokładnie, jak każdy z obecnych na niem głosował? Jeżeli więc ustęp ów w książce wspomnionej jest rzeczywiście kłamstwem, jak twierdzi Siemieński, wówczas nie jest on kłamstwem zręcznem samego Kołłątaja, ale kłamstwem zbiorowem wszystkich czterech współpracowników, szczególniej zaś Ignacego Potockiego, który jako świadek naoczny tego, co się działo na owem posiedzeniu straży, nie powinien był przypuścić w książce tak widocznej nieprawdy. Aż do ogłoszenia listów Kołłątaja pisanych z emigracyi przeważało mniemanie, że on i Dmóchowski byli autorami książki o ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 Maja, a dlatego mógł Wegner być w wątpliwości, co sądzić o ustępie jej opisującym posiedzenie straży w dniu tym pamiętnym, a szczególniej gdy się go zestawi z innemi źródłami. Lecz Siemieński wydając listy te, nie ma już tej wątpliwości, a mimo to zamyka oczy i nie chce widzieć listu LXXXVII, byle tylko dogodzić swej chętce odarcia z czci zasłużonego ojczyźnie człowieka.

XV.

Siemieński twierdzi dalej, że turbacya o majątkowe interesa i wygody życia wystawnego spowodowała Kołłątaja do drobnych spekulacyjek na stroikach damskich, płótnach i t. p. fraszkach i dodaje zaraz, że to wszystko zaprzątało go na wygnaniu w Lipsku i Dreźnie, jak o tem w każdym niemal liście przekonać się można. Że Kołłątaja trapiły rzeczywiście interesa majątkowe, dowodzi tego znaczna część listów jego, w tym zbiorze umieszczonych. Trudno się temu nawet dziwić, zważywszy, że miał znaczne długi, zabezpieczone na swych dobrach dziedzicznych i dożywotnich, a tem samem w wielkim był kłopocie, jak się uiścić swym wierzycielom. Długi te pozaciągał u Strassera, Prota Potockiego i wielu innych, a obrócił je w części na zakupno dóbr i ulepszenia w nich gospodarskie, a w części na wydatki potrzebne do uzyskania podkanclerstwa. O tych długach jest ciągle mowa w listach do Strassera, do Szczurowskiego, do Hulewiczów, a nawet do marszałka Małachowskiego. Jako człowiek uczciwy pragnął ocalić swe majętności nie na wygody wystawnego życia, jak chce Siemieński, chociaż o tem w najpoufniejszych nawet listach najlekszej nie znalazł wzmianki, lecz na ubezpieczenie wierzycieli i własnej matki, która mu swe mienie powierzyła. Niektórzy z wierzycieli jego, a nawet Strasser, nalegali nań, aby wracał i aby napisał list do Szczęsnego Potockiego, ponieważ tym jedynie sposobem potrafi ocalić urząd i mienie. W odpowiedziach swych usprawiedliwia się Kołłątaj szczególniej przed Strasserem, że nie może żadną miarą się upodlić, chociażby rad ocalić swe mienie celem zadośćuczynienia swym wierzycielom i dlatego żąda wprzód pewności, czy podawanym przez nich sposobem ocali rzeczywiście mienie swoje bez ubliżenia godności własnej i sumieniu swemu.

Siemieński rozminął się najzupełniej z prawdą twierdząc, że spekulacyjki na stroikach damskich i innych fraszkach zajmowały go ciągle na wygnaniu, o czem mają świadczyć wszystkie niemal listy jego. Tymczasem mówi o tem w czterech tylko listach, a mianowicie w XX pisanym do Strassera 29 Września 1792, w XXI pisanym do Barsa 6 Października 1792, w XXVII pisanym do Wincentego Szczurowskiego, 10 Paźdz. 1792 i w L pisanym do Szczurowskiego 8 Stycznia 1793. Posłuchajmy więc, co o tych przez Siemieńskiego złośliwie i w złej wierze zarzucanych mu pisze spekulacyjkach. W liście do Strassera powiada (str. 33 T. I): „Mając kredyt i adresa do różnych kupców; którymi mię opatrzył pan Kraker (bankier wrocławski), zwiedziłem fabryki śląskie i saskie. Zabrałem znajomości z wielu kupieckimi domami, informowałem się dokładnie o wszelkim handlu płóciennym i na próbę musiałem wziąć z niektórych domów różne gatunki towarów w celu przekonania, iż jeżeli się w Polsce uspokoi, będę mógł być dla niej użytecznym przez znaczne komisa, które albo sam prosto czynić będę, albo przez osoby, które w nich akredytować zechcę. Któż wie, czy okoliczności teraźniejsze nie postawią mię w takiej sytuacyi, że mi tylko ten pozostanie sposób i do zatrudnień i do zabiegów względem moich potrzeb? Nie trzeba niczem pogardzić; kiedy wypadło koniecznie odprawić podróż za granicę, trzeba sobie ułożyć jaki cel przyzwoity i pożyteczny. Najdziesz to wszystko W. Pan zapisane w moim dzienniku, jeżeli Bóg pozwoli, abyśmy w Polsce się widzieli. Są w nim umieszczone przedmioty polityczne, gospodarskie, fabryczne i handlowe. Nauczyłem się od niemałego czasu tak życie moje prostować, żeby mi żaden dzień naprożno nie zeszedł, żebym się coraz bardziej oświecał w potrzebach życia ludzkiego, ile że u nas w Polsce mało jest jeszcze takich obywateli, którzyby starali się podróż swoją za granicą odprawiać w celu zbierania pożytków dla swej ojczyzny.“

(C. d. n.)

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

Dr. Władysław Gaisenberg.

(Ciąg dalszy).

Gdyby mi powiedziano, że wszelka umysłowość człowieka, wszelkie idee przepełniające jego duszę zniknąć będą musiały i że człowiekowi dozwolonem będzie z nieskończonego świata duchowego, obejmującego w sobie religię, prawo, moralność, wiedzę, uczucie i wszystkie inne czynniki, w jego duchowy żywot się wiążące — wybrać dwie tylko idee, wybrałbym bez namysłu idee: wolności i miłości. Przechowawszy wolność i miłość, przechowałby człowiek już tem samem siebie całego, bo z wolności i miłości wypływa cała reszta duchowej istoty człowieka. Wolność umiały Hellada i Rzym przez dłuższy czas przechować, miłości nie było tam ani śladu.

W jednej jak i drugiej z tych ziem klasycznych człowiek jako człowiek nie był niczem, w państwie ginęła wszelka jednostka, na szacunek zasługiwał li tylko ten, kto był obywatelem państwa, obcokrajowiec był nieprzyjacielem, broniono go przed rozbojem li tylko ze względów politycznych, aby w jego kraju także i obywatel helleński lub rzymski w razie potrzeby obronę mógł znaleźć. Niezawodnie ogniskiem miłości powinna być rodzina, a w świecie klasycznym jakież stanowisko zajmuje rodzina? Rodzice mieli nad dziećmi prawo życia i śmierci, a gdzie, jak n. p. u Lacedemończyków tego prawa nie mieli, nie płynęło to z miłości rodzicielskiej, lecz przeciwnie z despotyzmu rządowego, uważającego dzieci za własność państwa, nakazującego pozbawiać życia te nieszczęśliwe ofiary, które aczkolwiek brzydkie, niekształtne lub słabowite na świat przyszły, mogły mieć piękną i szlachetną duszę. Celem małżeństwa było tylko dochowanie się potomstwa, aby zapewnić krajowi jak największą liczbę silnych i zdrowych obywateli, dlatego też wielożeństwo, niewierność małżeńska, najsprośniejsze miłostki były prawnie dozwolonemi, o ileby państwo na tem nie cierpiało. Wolność była własnością ziem klasycznych, ale z pewnemi ograniczeniami wywołanemi właśnie przez brak poczucia miłości. Wolnymi byli tam tylko mężczyzni, kobiety i dzieci nie miały żadnych praw. Ojciec rodziny był niemal ich Bogiem na ziemi. Rodzina była jest i będzie zawsze podstawą i podwaliną każdego narodu i społeczeństwa. Powiedz mi, jakie gdzie stanowisko zajmuje rodzina, a ja ci odpowiem, jakie tam stanowisko zajmuje cały naród, całe społeczeństwo; powiedz mi jakie gdzie stanowisko zajmuje kobieta, a ja ci powiem najdokładniej, jakie jest tam stanowisko całego społeczeństwa, całego narodu i całego państwa. Abyś zrozumiał stanowisko Hellady, rozczytaj się w rzeczypolitej boskiego Platona, a jeżeli przyznasz słuszność twierdzeniu Gaume'a (*Dzieje życia rodzinn. t. I str. 184*), że „urzeczywistnienie rzeczypospolitych Platona utworzyłoby chlew dla wieprzy,“ nie będziesz z dzisiejszymi pseudo-klasykami pragnął, wprowadzenia helleńskości w życie nowoczesne. A jeżeli wyczytasz w Senece (*de ira I 14*): „Tak samo jak zabijają psy wściekłe, dzikie i nie dające się ułaskawić byki, jak zarzynają chore owce, aby nie zarażały całej gromady, tak zaduszają rodzące się potwory, topią słabe i niekształtne dzieci — nie złość lecz rozum to nakazuje,“ — nie powiesz, aby Rzym stał wyżej od Hellady. Obojgu brakowało miłości; w dziejowym pochodzie dobiła się Hellada, dobił się Rzym wolności i to wolności częściowej, ludzkość winna im być wdzięczną za to, lecz nie powinna zapominać, że dopiero świat chrześcyański wygłaszając „kochaj bliźniego jako siebie samego“ dotarł do głębi duchowej istoty człowieka i uzupełnił jednostronność starożytności klasycznej.

Zatem też każde państwo, każdy naród broniący swojej wolności a strzegący miłości nie potrzebuje się obawiać upadku swojego; oryent i świat klasyczny przepadły bezpowrotnie, ale jedynie i wyłącznie dlatego, że pierwszy nie znał ani wolności, ani miłości, zaś drugiego wolność była tylko jednostronną, a miłości wcale tam nie było, a przyznam się, że nie znam narodu, któryby kiedykolwiek zaginął z wolnością i miłością. Jeżeli przed siłą, despotyzmem i gwałtem korzy się świat cały, jeżeli serce szlachetniej myślącego człowieka przepełni się żalem i goryczą, że nie masz sprawiedliwości na świecie, że istotnie sprawiedliwość jest pajęczyną, w którę się uwikłają mali zbrodniarze, a którą wielcy wraz z sobą uniosą: wówczas najskuteczniejszem będzie lekarstwem rozpatrzyć się w dziejach starożytnego świata, a one pouczą każdego, że siła brutalna jest tylko narzędziem w rękach dziejowej opatrzności, która wolność człowieczą do tego stopnia szanuje, że jak w sakramencie małżeństwa małżonkowie sami są tegoż sakramentu szafarzami a kapłan im tylko błogosławieństwa udziela, tak i w dziejowym pochodzie siła brutalna wówczas tylko ludy na ziemię powala, kiedy te ludy same tego pragnęły i tylko tak długo nad nimi się pastwi, jak długo one oprzeć się jej nie chcą — a dziejowa opatrzność udziela tylko sankcyę swej najwyższej sprawiedliwości.

II.

Osobistość tego rodzaju, jak Pitagoras, to jest osobistość wybitniejsza ma to do siebie, że jeżeli z jednej strony jest jak każda inna jednostka produktem przeszłości a względnie teraźniejszości swojego narodu, to z drugiej strony jest znów twórcą przyszłości. Dlatego też zda mi się być rzeczą konieczną, nim się mówić będzie o osobistych stosunkach Pitagorasa, chociażby tylko w przelocie wspomnieć o dziejach Hellady przed Pitagorasem. Powyżej potrąciłem o dzieje świata tak zwanego „barbarzyńskiego,“ aby przypomnieć, jakie to wydarzenia miały miejsce po za granicą Hellady za czasów Pitagorasa, obecnie muszę przedstawić, o ile być może najkróciej, co się działo w granicach Hellady przed Pitagorasem, aby wiedzieć, jak wyglądała Hellada, kiedy Pitagoras na świat przyszedł, czyli on ją pod jakim względem odrodził, przekształcił, czyli jaką po sobie pozostawił narodowi swojemu pamiątkę. W ślad za Varro'nem odróżnić wypada w dziejach Hellady trzy epoki: przedhistoryczną aż do potopu, mityczną aż do pierwszej olympiady t. j. do r. 776 przed Chrystusem i historyczną według upodobania do bitwy pod Cheroneą, t. j. do r. 338 przed Chr., do śmierci Aleksandra Wielkiego t. j. do r. 324 przed Chr., lub wreszcie do zdobycia ostatecznego Grecyi przez Rzym w r. 146 przed Chrystusem.

Epokę pierwszą można śmiało z drugą połączyć w jedną, bo w obecnym wypadku nie rozchodzi nam się bynajmniej o przedstawienie tych szczegółowych stopni rozwoju Hellady, po których ona stąpać musiała, nim doszła do czasu Pitagorasa a następnie do ostatecznego rozkwitu, lecz tylko o rozpatrzenie się w całości jej historycznego pochodu przed Pitagorasem.

Czyby to miał być starzec stojący już nad grobem, lub młodzieniec marzący o czarownej przyszłości, czy wreszcie mąż w sile wieku rozważający dokładnie wszelkie kroki swoje, liczący się najakuratniej z otoczeniem swojem, każdy, każdy bez wyjątku, mężczyzna czy kobieta, mędrzec czy prostak, nigdy nie zadowolni się teraźniejszością, lecz z jednej strony czeka z upragnieniem na przyszłość, a z drugiej strony z tęsknotą o przeszłości wspomina. Myśl człowieka dąży wiecznie do pracy, nie może już z natury swojej znosić wypoczynku, w a l k a, o t o j e j h a s ł o; ona zawsze pragnie zedrzeć tę zasłonę, jaka przed nią tajniki życia kryje, a gdy jednę roztarga, niezadowolona odsłoniętym widnokręgiem, lekce go sobie waży i znów przemyśliwa nad rozwidnieniem dalszych horyzontów i tak dalej i dalej w nieskończoność. Ta nieskończoność przedstawia się człowiekowi w dwóch kierunkach, raz w przeszłości, drugi raz w przyszłości. Zkąd się wziąłeś człowieku, ziemio, słońce, gwiazdy, niebo, zkąd się wzięłyście i ty Boże zkąd wyprowadzasz swe pochodzenie? oto pytania, które zadaje sobie każda myśląca istota już w pierwszej chwili budzenia się myśli z snu tajemniczego w dziecięciu, oto początek wszelkiej filozofii i wszelkiej spekulacyi od początku świata, aż do dni jego ostatnich. Cóż odpowiadają dziecięciu? oto

zaczął padać deszcz, taki sam jaki w tej chwili pada lub co tylko padać przestał i z nieba spadłoś dziecię a dziaduś stary znalazł cię i przyniósł do rodziców twoich, którzy cię od niego sobie kupili. I dziecię na razie zadowolone, albowiem zaspokojono jego ciekawość, odpowiedziano mu na jego wątpliwości, pochlebiono mu, że z nieba pochodzi, a ostatecznie rozwijającej się myśli jego podano nowy przedmiot pod rozwagę, jakoby pokarm ku odżywieniu jej, ale nie na długo to wszystko! Myśl dziecięca spostrzeże wkrótce niezgodność tej powieści z rzeczywistością, czem bystrzejsza, tem pierwej zacznie stawiać inne pytania, burzyć gmach tradycyjnej wiedzy, aż przeszedłszy wiek chłopięcy, młodzieńczy, w wieku męzkim dojdzie do rozkwitu myśli swojej roztrząsającej z zimną logiką wszelkie światowe objawy; a co potem, to także od siły i energii myśli jednostki ludzkiej zależy, jeżeli ma dane po temu, będzie się piąć coraz wyżej i wyżej, jeżeli ich zaś nie ma opadnie i rozpocznie swój odwrót posępny.

Taż sama myśl człowieka pnąc się coraz wyżej i wyżej, doszła ostatnimi czasy do tego rezultatu, że życie jednostki odbija się w życiu całych narodów, że jak jednostka przechodzi z niemowlęctwa w dziecięcość, chłopięcość, młodzieńczość i mężkość, tak i narody całe te same przechodzą koleje, do tego stopnia, że jak w jednostkach ludzkich wiek starości może być wiekiem najwyższej mezkości, najwyższego rozkwitu a nie koniecznie wiekiem niedołęstwa, tak i narody całe mogą się rozwijać w nieskończoność, nie potrzebują kończyć upadkiem, byle tylko były dane po temu, byle tylko chciały być wolnymi i byle tylko chciały pielęgnować miłość w sercu swojem. Kto miał sposobność zapoznania się z jedną z najnowszych umiejętności, z tak zwaną „psychologią narodów,“ ten na każdej karcie znajdzie dowody na poparcie tego twierdzenia, że rozwój jednostki a rozwój narodu, to *mutatis mutandis* jedno i to samo.

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Warszawa, 28. lipca 1872.

(*Saison morte.* — Koncerty Bilsego. — Moniuszki: *„Wieczór romansowy“.* — Teatr. — Nowe książki historyczne. — Lesławy Korpaczewskiej: *„Oderwane nuty“.* — *„Gazeta Sądowa“.* — *„Kosmos“.* — Rozdwojenie sił.)

(r.) Niezdarzyło mi się nigdy dostrzedz tak wielkich pustek letnich w Warszawie, jak w roku obecnym. Alee Ujazdowskie, stanowiące niby pola elizejskie, wielki i piękny trakt wiodący mieszkańców naszego miasta, ochłody i świeżego powietrza spragnionych, do łazienek i Belwederu, zawsze niesłychanie ożywione, zapełnione mnóstwem wykwintnych ekwipaży i tysiącami osób ubranych jak zwykle w Warszawie, gustownie chociaż (przykry to wyrzut) nieraz za kosztownie i nad stan, dziś są puste, osamotnione i przez to smutne. Nawet Bilse, tak zawsze upragniony, admirowany i ceniony przez Warszawian, tego roku nie sprowadza zbyt licznej publiczności, owszem, nawet w Niedzielę i święto, nigdy miejsca nie zabraknie, co dawniej tak często się zdarzało. Przeszkadza mu zapewne niemało Cyrk Salamońskiego (z Moskwy), włoska opera z panią Caroselli przecudnej urody, a przedewszystkiem mnóstwo ogródkowych teatrzyków, niezmierną popularnością cieszących się obecnie, ale najgłówniej daje mu się uczuć wyjazd mnóstwa bogatych rodzin na letnie sezony, bo one to właśnie są zawsze główną podporą powodzenia tak poważnych rozrywek, jak koncerty Bilsego. To też szanowny Maestro Lignicki gniewa się na Warszawę i na rok przyszły obiecuje nie przyjechać, natomiast przyrzeka z wieloma tutejszymi melomanami spotkanie na wystawie wiedeńskiej, w czasie której grać będzie wśród wspaniałych szpalerów Schönbrunu. Bądź co bądź, chociaż muzyka Bilsego niezwyczajnie piękna, słusznie jednak, że publiczność nie chodzi jak dawniej zbyt tłumnie na nią. Ta obojętność jest zasłużoną karą za zbyt jednostajny program. Od kilku lat Bilse ciągle każe nam toż samo słuchać. Uwertura ze „Sroki Złodziejskiej“, albo z „Wolnego Strzelca“, „Semiramidy“ lub „Mignon“, Rapsodya węgierska Liszta, Kongres muzyczny Conradiego, fantazya z „Marty“ i „Ave Marya“ Schuberta, oto są dzieła muzyczne, które przynajmniej dwa razy w tydzień, choć wysłuchano już przez każdego mnóstwo razy, powracają znowuż w programie koncertu. Są tam wprawdzie i inne sztuki cenne, ale z nowości mało. Tego roku Bilse ma tę zasługę, że wykonywa niektóre polskich kompozytorów utwory, ala zawsze bardzo mało. Moniuszki gra uwerturę i mazura z „Halki“, tudzież piękny, bardzo melodyjny ustęp pod tytułem: „Wieczór romansowy“. Publiczność z uszanowaniem dla talentu tak przedwcześnie zgasłego naszego mistrza, słuchała przed paru tygodniami pierwszą exekucyę tego dzieła; cztery razy żądano powtórzenia, a Bilse został oklaskami zasypany. Od tej pory należy ono do najpopularniejszych ustępów koncertu Bilsego, a młodzież wsłuchuje się zawsze pilnie, jak romans w muzyce się wyraża.

Scena warszawska obecnie ogromnie opuszczona. Na lato porozjeżdżali się najznakomitsi nasi artyści: pani Modrzejewska, panowie Królikowski i Rapacki. To też dramat w ostatnim miesiącu podupadł, bo i cóż właściwie grać można bez tych artystów, którzy teraz właśnie mają powracać dopiero z wód, albo z Poznania i Lwowa? Grają tu zatem ciągle małe i powszechnie znane już komedyjki, wystawiono jeden tylko nowy, poważny dramat Mosenthal'a „Deborah“. Treść wziętą jest jeszcze z czasu prześladowania żydów w Austryi.

Jest ona bardzo efektowaną, ale pełną źle pojętych psychicznych serca skłonności. Debohra nie zna prawdziwej i szczytnej miłości, skoro potrafi przeklinać dawnego kochanka, a jej kochanek nie ma ani woli ani przekonań, umie się tylko roztkliwiać. Gra artystów jest bardzo staranną, expozycya dobrą. P. Stolpe, jako wójt, ma dosyć siły i dosyć uczucia; p. Rakiewiczowa stworzyła postać wysoce piękną Debohry, ale dramatyczny jej talent zawiódł ją w scenie przekleństwa; rolę jej kochanka umiejętnie grywa p. Wolski. Reszta wykonuje starannie swe zadania, ale bez wielkiego znaczenia dla rozwikłania głównej akcyi.

Z dziedziny literatury notujemy przedewszystkiem wyjście z pod prasy dzieła p. t.: „Kurs historyi wieków średnich“. Tadeusza Korzona, wielka 8va, str. 554, 4 mapy i 25 tablic genealogicznych. Wykład rozpoczyna się na upadku państwa rzymsko-zachodniego, a kończy na okresie Danta. Dzieło to, wydane nakładem p. Jana Brzozowskiego, stanowić będzie niewątpliwie ważny nabytek w literaturze naszej historycznej, a o jego wewnętrznej wartości, poważna krytyka orzec powinna.

Z dziedziny historyi zaznaczyć także potrzeba wydanie w Warszawie przez ks. Władysława Siarkowskiego dziełka p. t.: „Groby kościoła N. M. P. w Kielcach.

Nakład Michała Goldhaara (księgarza z Kielc.)“ Autor podaje tu historyę kościoła i opis zawartych w nim grobów, a nadto bullę papieża Piusa VII. podnoszącą kolegiatę kielecką do stanowiska biskupiej katedry. Książka ta ma swą wagę jako opis jednej z najwydatniejszych świątyń w naszym kraju.

Do nie licznego grona współczesnych naszych poetów i poetek, przybywa obecnie pani Lesława Korpaczewska ze swym zbiorkiem poezyi zatytułowanym: „Oderwane nuty.“ Tytuł piękny i wiele obiecujący; nie kryje się pod nim ani poemat epiczny ani dramat, ale zbiór liczny piosenek, z których każda jak ton oderwany ma wyrażać pewne uczucie, jakiś skończony w sobie dźwięk muzyki serca.

Po przeczytaniu jednakże przekonywamy się, że niezupełnie ziszczone zostały nadzieje. Wszystkie „wiersze“ w tej książce zawarte, są ostatecznie tylko w i e r s z a m i, tj. zbiorem rymów, ale nie są poezyą, brak w nich poetyczności, szczerego natchnienia i tej potęgi ducha, aby najdrobniejsze wzruszenia poetycznego nastroju wyrazić w wiernie malującej je i pełnej potęgi formie estetycznej. P. Korpaczewska wydrukowała wierszyki, pisane przez nią we wczesnej wiośnie jej życia, i dla tego malują one doskonale marzenia 17letniej dziewicy, pierwsze uniesienia budzącego się uczucia miłości i tęsknoty za szczęśnym wybrańcem losu, któryby usłuchał porywów jej serca i własnej duszy piosnką zawtórował grającym w jej piersi uczuciom. Są to też krótkie wierszyki, mające tę wielką zaletę, że nie grzeszą pretensyonalnością, ale w języku dość dźwięcznym i barwnym wyrażają bardzo pospolitą treść, jak np. westchnienia panienki do czapki akademickiej (Oda do czapki akademickiej). Jakkolwiek tedy p. Korpaczewska nie zaleca się talentem poetycznym, jednak nie brak jej zdolności i przy młodzieńczym i szlachetnym zapale do pracy, może użytecznie na literackiem polu występować.

Słychać także o powstaniu nowych kilku pism peryodycznych. Dr. Benni wydawać zamierza lekarskie pismo, p. t.: „Medycyna“, p. Jan Tatarkiewicz, mag. pr. i adm.: „Gazetę Sądową“, w guście lwowskiego „Prawnika“, a dr. Kramstück: „Kosmos“, pismo wyłącznie naukom ścisłym poświęcone. Wprawdzie wolna konkurencya najlepiej wzajemne reguluje interesa, a współzawodnictwo staje się ciągle bodźcem do pracy, ale z drugiej strony, jak wszystko na świecie tak i wolna konkurencya za daleko posunięta, nie doprowadzi do dobrego. Słusznie bardzo, że powstaje nowe czasopismo prawne, gdyż istniejący u nas „Przegląd Sądowy“ nie odpowiada swemu celowi. Wydawany bez stałego programu i zorganizowanego współpracownictwa zamieszcza co wpadnie redaktorowi w rękę, najczęściej rozprawy studentów pisane w celu uzyskania stopnia naukowego, ztąd nie jest on wyrazem dzisiejszej nauki, ani odbiciem praktyki sądów krajowych. W obec tego, jeśli „Gazeta Sądowa“ zadaniom tym zadość uczynić potrafi, będzie powstanie jej bardzo usprawiedliwionem. Ale natomiast po co ten „Kosmos“? Mamy „Przyrodę i przemysł“, pismo starannie wydawane, bardzo użyteczne i bogate treścią. Nowa redakcya siły rozdwoi, uczyni niemożliwem dobre prowadzenie wydawnictwa jednego i drugiego, obadwa nadto będą chromieć dla małej liczby prenumeratorów, gdyż u nas nie ma jeszcze tylu zwolenników nauk przyrodniczych, żeby kilka specyalnie poświęconych im organów, należycie utrzymać się mogło. — Jedność tylko daje siłę, zbyteczny rozdział osłabia ją niezawodnie.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*„Don Juan“ — „Samoluby“.*)

Za ważną zasługę poczytać należy obecnej dyrekcyi, że od czasu do czasu wprowadza na scenę klasyczne dzieła poezyi dramatycznej z czasów dawniejszych, które jeżeli nie na zawsze przechowały w sobie znamiona klasycznej doskonałości, to jednak z a w s z e pozostaną obrazem, jak się rozwijała, przeobrażała i stopniowo doskonaliła f o r m a tejże poezyi. I dlatego to jesteśmy do tego stopnia dziwakami, że chętnie widzielibyśmy na scenie w stosownem opracowaniu nawet zabytki tak odległej starożytności, jak: „Sakontala“, „Henisambâra“, „Prometej w okowach“, „Antigona“, a ręczymy, że bogatszy w nich zasób rozumnej i czystej poezyi niż... *honny soit, qui mal y pense!* Przedstawienie więc rzeczy takich, jak: „L e k a r z s w o j e g o h o n o r u“ Calderona lub: „D o n J u a n“ (d. 4. b. m.) Moliera, byłyby zasługą dyrekcyi, gdyby wchodziły w jakiś organiczny plan, jakiś rozleglejszy system, gdyby były wyrazem pewnej myśli estetycznej, a nie pojawiały się, jakby wystrzelone z pistoletu, pomiędzy jedną a drugą farsą p. Stanisława Dobrzańskiego... Jeżeli to początek systemu, to dobrze, jeżeli objaw ulotnej chwili — szkoda!... Rzecz na tem stoi... Jeżeli dyrekcya zażądała od p. Pieńkowskiego dokonania przekładu: „Don Juana“, są nadzieje na przyszłość, jeżeli p. Pieńkowski z własnego popędu to uczynił, i o d d y r e k c y i ż ą d a ł przedstawienia komedyi, to szkoda — bo nie zawsze znajdzie się p. Pieńkowski do tak dobrych pomysłów, a dyrekcya nie lubi inicyatywy. Ale niczego nie przesądzamy...

Dziwne a zarazem niewyczerpanie piękne swą fantastycznością były wieki średnie — to już pewne... „Wpatrując się w ten obraz tak bogaty, w tych rycerzy, turnieje, pustelniki i piękne damy, w te wojny krzyżowe, pielgrzymki do ziemi św., w te zamki i mosty zwodzone, w tę galanteryę i męstwo, w tę wierność i miłość honoru, i w tę wiarę rzewną, widzisz, iż tak wszystko gra, promieni się, migoce, błyszczy barwami, żebyś rzekł, iż duch młodzieńczy świata we śnie jeszcze, drzemie uśpiony na łące pełnej poezyi kwiatów, którymi ranek powiewa, a młoda Europa marzy o miłości, sławie, bitwach i Bogu... A ten świat tak piękny drzemał i marzył i śnił, póki go nie obudził huk broni palnej i silniejszy jeszcze głos myśli wcielonej w drukowane księgi.“ Wiek XII. jest zenitem tej epoki i przesileniem... Feodalizm, sprzyjający tak dobrze dziwolągom fantazyi i myśli średniowiecznej, przeobraża się w inne formy społeczne, gęśl trubadurów ze słonecznej Prowancyi ustępuje, Piotr Vidal kończy swe marzenie o dyademie cypryjskim, a wiekom późniejszym zostaje tylko pamięć pełna satyry... I doprawdy w tej wybujałości stosunków średniowiecznych, był bogaty przedmiot dla satyrycznych wycieczek późniejszego pokolenia; to też ze splowieniem fantazyi rycersko-erotycznej XII. wieku zaginęła szybciej tradycya szlachetnych stron, tkwiących w romantyzmie a pozostała pamięć dziwactw i extrawagancyi... Pamięć ta krystalizowała się stopniowo i przybierała coraz wyraźniejsze kształty fantastycznych legend; praca ludowej wyobraźni ułatwia się jednak powtarzającymi się jeszcze od czasu do czasu, jak ostatnie echa, wyskokami tejże

samej nieokiełznanej fantazyi, która była duchem wieku XII.; nasuwają się jeszcze od czasu do czasu typy, noszące w sobie wszelkie cechy tamtej epoki, tylko w jeszcze karykaturalniejszem przetworzeniu... Były one już parodyą średnich wieków, ale satyrycy wieku XVI. widzieli już tylko parodye i tę brali za przedmiot opracowań poetycznych. Don Kiszot z Manszy, ani Don Juan di Tenario nie mogą być rzeczywistym wyrazem ludzkości średniowiecznej, tak pełnej, obok swych dziwactw, rzadkiej szlachetności i prawdy uczuć, ale nie trudno pojąć, że Cervantes i Molier brali średnie wieki takimi jak się one za ich jeszcze czasów przedstawiały, bądź z bezpośredniej obserwacyi, jak w Cerwantesie, bądź ze świeżej tradycyi, jak u Moliera... Tak powstały te pełne humoru i fantastyczności utwory, w których jest obok zasobów szczerej prawdy, także i wiele przesady...

Komedya Moliera jest kartą z życia miłostek i namiętności rycerza-trubadura sewilskiego, który nabrawszy ognia w tonach Mozarta, a cierpkości w poemacie Byrona, stał się na wieki typem... Charakter jego u Moliera jest ledwo naszkicowany, ale z nieporównaną prawdą... Don Żuan (p. Woleński) uprzykrzył sobie donę Elwirę (pani Szymańska) i wybiera się ze swym pociesznym famulusem Sganarellą (p. Dobrzański) w podróż, za chwytaniem po drodze nowych uczuć, będących raczej przyspieszonem krążeniem krwi, aniżeli wyrazem serca... Chociaż dona Elwira w żałobnym kwefie tuła się jak cień za nim, i pragnęłaby go swemu sercu powrócić, Don Żuan, przedrwiwa ją z rozpustnym cynizmem i wałęsa się za wieśniaczkami, które uwodzi!... Płynie wezbraną rzeką i omal nie tonie, aby ujrzeć ubóstwianą Karolinę (panna Wolska), ale ledwo osuszył się z mimowolnej kąpieli i ujrzał na brzegu inną wieśniaczkę Małgorzatę (pani Doroszyńska), już zatarty ślad tamtego wrażenia, a Don Żuan zanurza się w odmętach nowej, aż do przesady wybujałej extazy... Gdy dwie rywalki z gminu spotkają się razem i to w obec wspólnego Adonisa, można sobie wyobrazić, jaka ztąd wywiązuje się scena, nie przebierająca w zażyciu języka... Zręczny Don Żuan obu przyobiecując wierność i wyłączny afekt, wyślizguje się z drażliwości położenia i uchodzi... Tu rwie się wątek akcyi dramatycznej, a dalsze trzy akty są wybornie nakreślonymi obrazkami rodzajowymi, są mistrzowsko prowadzonym dyalogiem, są szeregiem fantastycznych cudowności, ale już nie są komedyą... W przystępie dobrego humoru szydzi raz Don Żuan z posągu komandora Ulloa, którego zabił, i zaprasza martwy kamień na ucztę do siebie... Komandor nad wszelkie spodziewanie przybywa na ucztę, z wielkiem nieukontentowaniem tchórza Sganarelli, a nawet zaprasza niebacznego rozpustnika z rewizytą do siebie... Don Żuan przyjmuje zaproszenie — i w chwili też jakichś cynicznych refleksyi, kiedy brak wszelkich podstaw moralnych w charakterze Don Żuana najjaskrawiej się uwidocznia, kamienny gość wzywa go do stołu, zdaje się w piekle zastawionego, bo tak komandor jak Don Żuan zapadają pod podłogę teatru przy towarzyszeniu piorunów i ogni bengalskich, a podobno jest sceniczną tradycyą, że piekło — pod podłogą... Takie jest zakończenie tej komedyi oparte na legendzie, więc zmuszonej kończyć się w sposób cudowny...

Układ sztuki nie wytrzymałby bez wątpienia dzisiejszej logiki dramatycznego tworzenia, a nawet już Molier nie miał wiary, aby w niej była logika prawdy... Ale z epoki pozbawionej właśnie logiki i rzeczywistości, jaką były średnie wieki, najwłaściwiej wydało się poecie wysnuć obrazek koloryzowany fantastycznie. Wartość sztuki polega na trafnej charakterystyce. P. Woleński (Don Żuan), kochanek nasz liryczny, zatarł jednak właściwe znamię tej postaci i odjął jej barwę typową... Czułość Romea nie może być rozpustą Don Żuana. Postać ta w grze p. W. wypadła szlachetniej, jak w naturze... W przedstawieniu Don Żuana polega wszystko na tem, aby jego extazom nadać wyraz natychmiastowego ulegania wpływowi pierwszych wrażeń, owładających bezpośrednio od razu, gwałtownie, całą jego istotą... Jest to usposobienie nerwowe, chorobliwe, w którem fizyczność przeważa stronę duszy — w którem dusza pomaga sobie dopiero spóźnioną refleksyą, ale w którem nie ma miejsca na ironizowanie... Namiętności Don Żuana potrzeba nadać znamię i siłę prawdy, jest to natura demoniczna, tylko że ów demon w łonie jego ciągle pracujący nie ma w sobie tej siły negacyjnej, jak n. p. u Ryszarda III, która ma swe zadowolenie w rozprzęganiu świata, on rozprzęga i szarpie tylko pierś samego Żuana, każąc mu ulegać wszelkim po kolei odbieranym wrażeniom... Taką jest geneza namiętności Don Żuana tak w syntetycznem jej pojęciu, jak i w każdorazowym jej objawie — w każdej nowej miłostce. Naturalnie że Don Żuan świadomy tylu odniesionych przez się tryumfów nabiera pewności siebie, swady retorycznej, obłudy, cynizmu, lekkości, ale to wszystko jest ornamentyką komiczną i wielce charakterystyczną, jeżeli się podłoży owo pierwotne tło demoniczne... W extazach p. W. nie widzieliśmy gwałtowności, którąby świadczyła, że w tej chwili demon się zerwał na nogi w jego duszy, nie widzieliśmy zresztą nawet tej szalonej, zamaszystej swady i pewności siebie, ale raczej liryzm Romeowy, a co najgorzej ironizowanie równocześnie własnych extaz... To jest najbłędniejsze... Przed każdą nową pięknością ujrzaną Don Żuan unosi się zachwytem, wypełniającym wtedy całą jego istotę; po pewnej chwili wrażenie płowieje i Don Żuan ironizuje już swój nowy, sztuczny zapęd serca, bo zna dzieje własnej duszy i pamięta, ile to razy już się zachwycił, aby wnet zapomnieć, ale w owej chwili namiętność jego musi być zupełnie braną na seryo — inaczej jest kłamstwem psychologicznem w obec idei Don Żuana. Że p. W. w chwili kłótni dwóch rywalek był już sobie swobodnym lekkoduchem i zręcznym frantem, to dobrze, ale czy w scenie oświadczyn w obec Małgorzaty powinien był nadawać ironiczny odcień swym extazom, niech rozważy raz jeszcze, a może sobie inaczej rzecz wytłumaczy.

P. Dobrzański był podziwienia godnym Sganarellą. Kiedyś nadejdzie może czas uczuć bardzo poważnych i głębokich, w którym typ Don Żuana stanie się nadto rażącym anachronizmem w obec życia, aby go podziwiać w poezyi, ale Sganarella, ten głupi mędrzec, czy mądry głupiec, ten wyskok ludowego rozumu, w którym tkwi wszystko, co dobre i mądre, we formach niedojrzałych i śmiesznych, on zostanie typem o wieczystej prawdzie... Rzadko znaleźć grę tak sympatyczną, tak rozumnie pojętą, tak umiarkowanie wyzyskującą komizm postaci, jak u p. D. Począwszy od wybornego ucharakteryzowania twarzy i całej figury, wszystko było tu zgodne z naturą charakteru, wszystko (z wyjątkiem dowcipu o papierowem straszydle!) dawało całość przemyślaną i artystycznie skończoną.

Bardzo mi rzadko przychodzi się spotykać na tem miejscu z grą pani Doroszyńskiej (Małgorzaty), tak zawsze świeżą, ożywioną i tak sumiennie wypracowaną. Artystka ta ma niespożyty humor, dowcip zawsze nowy i oryginalny, tryskający z każdego szczegółu gry, werwę pełną odmian i pomysłów. Kokieterya hiszpańskiej wieśniaczki w grze pani D. była tu, jak potrzeba, wytworem najprawdziwszej natury, a więc przybierającym formy excentryczne, rubaszne, na pozór nieuzasadnione, a przecież w gruncie prawdziwe i z życia wzięte; okraszone zaś to

było wszystko swobodą i taktem artystycznym. Niech pani D. raczy odnieść te słowa tak do roli Małgorzaty, jak i do prawie wszystkich innych, w jakich ją dotąd widziałem.

Pomniejsze role wykonali odpowiednio pani Szymańska (Elwira), pp. Konarski (Don Alonzo), Waleski (Don Karlos) i Doroszyński (Piotr). Harmonię wrażenia zepsuł tylko jeden niewczesny żarcik reżyseryi. Żarcikiem nazywamy (drugi raz naznaczymy to silniej!) powierzenie roli Karoliny pannie Wolskiej... Scena publiczna nie jest elementarzem, z którego dziecko uczy się pierwszych głosek... Pojmujemy próby artystyczne, ale ta była za śmiałą. Przez wyprowadzenie za wczesne na scenę elewki tak jeszcze niedojrzałej, można zupełnie spaczyć zarody najpiękniejszego talentu.

W środę (d. 7 bm.) dano po raz pierwszy 3-aktową komedyę Wiktora Sardou: „Samoluby.“ Pełen talentu autor ten francuzki ma tak oryginalną i odrębną manierę tworzenia, że każda jego komedya ma te same zalety i niedostatki kompozycyi, tę samą architektonikę scen i dyalogu, tę samą wreszcie zasadniczą podstawę układu, aby idee sztuki, jej myśl obyczajową okazać nie na jednym człowieku, ale na całej grupie postaci charakterystycznych, które dopiero w połączeniu dają całość obrazu. Tak się zatraca bohater komedyi, ale występuje tem wyraziściej sama myśl etyczna bo wszyscy w równej mierze składają się na jej uwidocznienie. W „Safandułach“ jest aż trzy ich typy, w „Rodzinie Benoitonów“ wszystkie postacie są motylami bulwaru i mody, w „Naszych najserdeczniejszych“ występują najrozmaitsze odcienia obłudy i egoizmu. W „Samolubach“ przedziwnem jest zestawienie dwóch odrębnych typów jednej natury... De la Porcheraie jest samolubem najczystszej krwi, ale nie jest obłudnikiem... Nie łudzi siebie, ani drugich, wie, że siebie tylko kocha, że cały system życia tak ułożył, ażeby sobie tylko zapewnić zysk i wygodę, ma cyniczną prawie świadomość własnej podłości, która jednak w oczach jego nie wygląda na podłość, ale na — pozytywizm... Jemu przeciwstawia się słodki i chytry Dutrécy, jeden z najmisterniejszych pomysłów nowoczesnej komedyi, brudny i zimny egoista, uważający się za centrum świata, z równą zręcznością wyzyskujący cudze słabostki i uczucia, ale przy tem wszystkiem łudzący się bezwiednie, że jest od świata lepszym, że jest przyjacielem ludzkości, mającym głęboki wstręt do egoizmu, z jakim bezczelnie co chwila brawuje Porcheraie. Cywilizacya nadaje wyrafinowanie w cnocie i zbrodni... Każdy grzeszek rozdrabnia się dziś na najdelikatniejsze odcienia, ztąd niepodobna nowszej komedyi uosabiać pewne idee charakterystyczne w kształtach jednej postaci — potrzeba ich więcej, bo obraz byłby ułamkowym... Dlatego Molier mógł jeszcze swych „Świętoszków“ i „Skąpców“ przedstawiać w jednej postaci. Wiktor Sardou wyprowadza na scenę całe społeczeństwa... Nie ma już dziś jednostek tak oryginalnych, tak wybitnych, aby stanowiły w sobie charakterystyczną całość, dopiero w szerszych kręgach społecznych uwydatnia się pewna przywara obyczajowa, pewien rys komiczny. W tem, sądzę, leży najgłębsza podstawa rodzaju kompozycyi dramatycznej, obranego przez Wiktora Sardou... Dutrécy i de la Porcheraie należą do siebie, jak bracia Syamscy, obydwaj są samolubami, a przecież w jednym z nich nie pomieściłoby się całe pojęcie samolubstwa.

Komedya jest doskonałą. Expozycya, jak zwykle u W. Sardou, jest trochę przydługa i mniej zawiera iskrzącego humoru, ale z biegiem sztuki wszystko się ożywia, nabiera ruchu i wyraźnych kształtów, intryga posuwa się szeregiem najkomiczniejszych kolizyi, charaktery doprowadzone do najdalszych moralnych konsekwencyi... Podziwienia jest godnem, z jakim pedantyzmem wyrzeźbia autor wszystkie swe postacie, jak o żadnym szczególe nie zapomina, który dorzucić może promyk światła na fizyognomię portretu; bystrzejszym darem spostrzegawczym żaden z nowożytnych komedyopisarzów poszczycić się nie zdoła. Ale gdy szło o odmalowanie czulszych stron duszy, promieniejących uczuć, trochę się powinęła noga p. Sardou... Połowiczny romans Armanda i Teresy jest nakreślony prawdziwie i ujmująco, ale tak boleśne rozczarowanie się na niej Armanda, czyż może prowadzić (biorąc rzecz ze stanowiska ścisłej psychologii!) do natychmiastowego zadzierzgnięcia nowych węzłów uczucia? Czyż to naturalnem, aby tak prędko zmienić prąd duszy? Czyż nie jesteśmy nic winni zatraconym ideałom, boleśnym wspomnieniom? Tak nagłe przerzucenie się Armanda od „wietrznicy“ Teresy do „dobrej“ pani de Verières wygląda coś na Don Żuanizm... W sztuce jednak tej romans jest na drugim planie, odmalowanie samolubstwa w jego usposobieniach, gustach i uczuciach— celem sztuki.

Wykonanie jej było raczej ostatnią próbą, niż publiczną reprezentacyą. Nie umiano ról. P. Linkowski (de la Porcheraie) był wybornym, gdyby nie kłótnia ze sufleren, którę od dwóch lat systematycznie prowadzi, ze szkodą swych artystycznych powodzeń. Była to postać żyjąca i prawdziwa, a oddana z miarą i taktem. P. Konarski (Dutrécy) miewał chwile powodzenia, ton, z jakiego ujął tę postać był zupełnie właściwym, charakterystyka trochę zaniedbana. P. Dobrzański (Fourcinier) wydawał się nazbyt apatycznym hipochondrykiem — nie wiem czemu? Okrasą wieczoru była prześliczna gra pana Woleńskiego (Armand). Scenę przez autora tak wdzięcznie pomyślaną, gdy Armand w krótkiej rozmowie z Teresą pozbywa się najdroższych ideałów duszy, nie znajdując w tej marzonej „błękitnookiej“ żadnego echa swej miłości, odegrał p. W. z taką siłą głębokiej i rzewnej boleści, z tak wytwornym liryzmem i rozumnem wycieniowaniem wszystkich faz, jakie przechodzi w tej chwili jego łamiąca się dusza—że ta scena staje się brylantem artystycznym, zwłaszcza jeżeli dodam, że Teresą była panna Deryng, rozwijająca tym razem bardziej może niż kiedykolwiek czarujący wdzięk gry swojej, tak ożywionej i tak naturalnej. Inne role były w rękach niewłaściwych. Pani Verières miałaby dopiero wtedy pewne uprawdopodobnienie w sztuce, gdyby ją grała np. panna Rudkiewiczówna, bo pani German, grająca dobrze role kokietek *demimondu*, nie mogła uczynić z niej kobiety słodkiej, dobrej, duszą tchnącej... Rolę Jerzego powinien wziąć p. Ładnowski, który, mówiąc nawiasem, coraz bardziej staje się w okolicach teatru mitem, ze szkodą publiczności zarówno — jak własną.

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA. *Gąsiorowski Albert. Adam Mickiewicz i pisma jego do r. 1829.* Kraków. „Kraj“ 1872.

PEDAGOGIA. *Kawczyński Maksymilian. O wadach szkolnictwa pruskiego.* Nakładem „Szkoły“ 1872.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.